

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 88.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 1 pół.

Warszawa, 20 maja 1861.
1 czerwca

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Jerzy Ossoliński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kaszuby (z drzeworytem). — Konik zwierzyniecki (z drzeworytem). — Gzostochowa (z drzeworytem). — Na placówce, wspomnienie żołnierskie przez T. T. Jeża (dokończenie). — Nagrobek Adryana Szumskiego w Przasnyszu (z drzeworytem). — Szachy — Rebus.

Jerzy Ossoliński.

Jerzy Ossoliński, kanclerz wielki koronny, starosta lubelski, lubomski, lubaczewski, brodnicki, rycki, dorpacki i t. d., urodził się we wsi Klimontowie dnia 15 grudnia 1595 r., ze Zbigniewa, wojewody sandomierskiego, i Anny Firlejówny, córki wojewody krakowskiego, marszałka w. k. Dnia 31 grudnia t. r. chrzczył go i nadał mu swe imię kardynał Jerzy Radziwiłł, biskup krakowski, który z tego powodu zaraz ojcu Jerzego wypuścił dwie wsie w ziemi lubelskiej, Piotrowin i Sieciechów.

W dziesiątym roku życia oddał go ojciec do szkół jezuickich w Pułtusk, gdzie przebywał przez dwa lata. Gdy starszy jego brat Krzysztof, ukończywszy nauki za granicą, wezwany został w tym czasie do dworu arcyksięcia Ferdynanda, przebywającego w Gracu, udając się tam r. 1607 zabrał z sobą i Jerzego i umieścił w miejscowym konwiktie jezuickim.

Po pięcioletnim pobycie w Gracu, brat przywiózł go nazad do Polski, zkąd dla większego wydoskonalenia się w naukach i poznania innych krajów, powtórnie wyjechał za granicę. Sam ojciec przepisał mu szczegółową instrukcją, gdzie i czego miał się uczyć i dodał mu aż dwóch przewodników: jednym z nich był Westfalczyk Papokort, pod którego surowym dozorem zostawał niegdyś w Gracu, drugim znakomity szlachcic włoski Michał Possodari, rodem z Dalmacyi, biegły w sztuce rycerskiej i znawca wielu języków. Do usług Jerzemu dani byli sami cudzoziemcy, aby tém lepiej nauczył się obcych języków. 14 maja 1613 roku wyjechał z kraju przez Pragę czeską, Norymbergę, Frankfurt, Kolonię, Ruremundę i Wert, 23 lipca przybył do Lowanium, gdzie zarliwie poświęcił się naukom, osobliwie historii i prawu, i taki w nich uczynił postęp, że w końcu roku napisał rozprawę *de optimo statu reipublicae* (o najlepszej formie rządu), którą czytał na zgromadzeniu publicznym, i gdy się bardzo podobała uczonym, podał ją do druku, przypisując królewiczowi Władysławowi. W połowie następnego roku wyruszył do Hollandyi i Anglii, które zwidzi-

wszy, udał się do Francyi i w Paryżu przez rok cały poświęcał się matematyce. Przychylnie zalecony listami z kraju i osobistemi przymiotami, bywał w towarzystwie znakomych ludzi i przypatrywał się zwyczajom i biegowi spraw publicznych na dworze francuzkim. Następnego 1615 roku udał się do Włoch, zabawił w Turynie i Wenecyi, potem przez pięć miesięcy w uniwersytecie padewskim, gdzie napisał rozprawę łacińską „Kwestye moralne“; zwidzał dalej Medyolan i Bononię, a ku końcowi roku stanął w Rzymie. W liczbie wielu uczonych tamiecznych poznał i sławnego ziomka dominikanina Brzowskiego, uczo-

zbięrała się właśnie wyprawa wojenna, dla wprowadzenia królewicza Władysława na tron rossyjski. Dowództwo nad wojskiem i nadzór nad królewiczem, otrzymał Karol Chodkiewicz, hetman w. lit., wuj Ossolińskiego. Tym sposobem dla młodzieńca, pragnącego zwyczajem przodków rozpocząć zawód publiczny od służby wojskowej, nastęczyła się bardzo przyjazna sposobność odbycia jej pod biegłym i osobiście przychylnym sobie wodzem. Krewni wyjednali nadto u króla, że Jerzego pomieścił przy osobie królewicza, któremu czytywał listy, szczególnie w języku niemieckim, układał mowy do wojska i wszelką prowadził korespondencją. Oceniając zdolność Jerzego, Władysław ciągle go wzywał do swego towarzystwa. Te względy obudziły zazdrość w drugim młodzieńcu, Stanisławie Kazanowskim, również jak Jerzy zbliżonym do królewicza. Kazanowski usposobieniem żywym, płochym, pochlebstwy i pobjażaniem namiętnościom królewicza, umiał mu się podobać i zęcnie obudzić jego niechęć ku Ossolińskiemu, udając że ten donosi dworowi o ich prowadzeniu się. Władysław też, chociaż na pozór pokazywał się jednakim dla Ossolińskiego, potajemnie źle go wystawiał przed królem i upraszał o jego oddalenie.

Poznawszy niechęć i nieszczerłość Władysława, Ossoliński tém więcej pragnął przebywać w obozie i odznaczyć się w przedsięwzięciach wojennych. Po zajęciu Dorohobuża i Wiazmy, hetman następnie chciał zdobyć Możejask, gdzie się znaczne okopały siły. Skutkiem atoli intrygi Kazanowskich, którzy nieprzyjawni byli hetmanowi, nocna wyprawa się nie powiodła; musiano przystąpić do długiego oblężenia i zwodzić ciągle utarczki, w których Ossoliński czynny zawsze przyjmował udział. Spóźniona pora i niedostatek w wojsku, stał się następnie powodem, że wiele chorągwi wróciło do domu, resztę zaś Chodkiewicz odprowadził do Zwienigoroda, aby tam wypoczęły. Tu połączył się z Chodkiewiczem sahadaczny zaporozski Konaszewicz, przyprowadzając mu 20,000 Kozaków. Z temi posiłkami podstępiono pod mury stolicy, w zamiarze wzięcia jej szturmem. Kawaler maltański Bartłomiej Nowodworski, przysposobiwszy petardy, w nocy poprowadził do ataku; Ossoliński i Sobieski szli obok niego, narazając się na największe niebezpieczeństwo. Atak jednak się nie powiódł: Sobieski i Possodari, nauczyciel Jerzego, zostali ciężko ranni; on sam zasłaniał odwrót i szczęśliwie walcząc, zyskał pochwały hetmana i królewicza.

Zaraz po zawarciu pokoju, Ossoliński, uzyskawszy



JERZY OSSOLIŃSKI. (Rysował Polkowski, podług sztychu M. Keyla.)

nego pisarza dziejów kościelnych, który miał wtedy u dworu papieżkiego wielką powagę. Z Rzymu udał się na zwidzenie Neapolu, gdzie doszedł go list ojcowski, zalecający mu powrót do kraju.

Gdy po trzechletniej wędrowce stanął w Krakowie,

ż musiał im dać przychylnie zapewnienia, bo szlachta, zatrwożona pogłoską, że król zamysła z pomocą Kozaków wziąć ją w karby, niezmiernie podejrzliwie odgadła wszystkie jego kroki i znieawidziła Ossolińskiego, jako głównego doradcę królewskiego. Jednak ani król, ani Ossoliński, zaszczycony teraz wielką pieczęcią koronną, nie tracili nadziei przeprowadzenia swych zamiarów. Aby uspokoić wewnętrzne klótnie z powodu różności wiar, naznaczył Władysław IV, za radą Ossolińskiego, na dzień 28 sierpnia 1645 roku do Torunia *Colloquium Charitativum*, czyli zjazd w celu przyjaznego porozumienia się wszystkich wyznań. Przybyli deputaci katolicy i reformowani; Ossoliński zagałł rozprawy przesłuchaniem, zachęcając rozróżnionych w wierze do pojednania się. Póki czwał nad biegiem obrad, szły bardzo pomyślnie, ale gdy go król odwołał do innych spraw, poważniejsi deputaci rozjechali się w jeszcze większym rozjątrzeniu.

Tymczasem dojrzewał w cichości zamiar wyprawy przeciwko Tatarom, którym rzeczpospolita, mimo potęgę swoje, corocznie składała daniny. Władysław, za odebrany posag po żonie, zbierał liczne zaciągi. Mówiono że połączywszy się z Kozakami, pragnie powściągnąć swawolę szlachty, szemrano że ją chce w chłopów zamienić i domagano się sejmu. Zwołany w październiku 1646 roku, zaczął się od mowy Ossolińskiego mianę od tronu, w której kanclerz usprawiedliwiał postępkę królewską; przemogła jednak prywata, i na usilne prośby sejmu król musiał rozpuścić wojsko.

Ossoliński, boleśnie dotknięty upadkiem planów, w które włożył tyle pracy, odkryty potem żalobą po stracie króla, zmarłego w Merczu 1648 r., poświęcił się oddać szczególniej fundacyom pobożnym. Wznosił lub wyprzedzał i uposażał kościoły, zbudował jezuitom wspaniałe kolegium w Bydgoszczy, pod tytułem *Aeternae Sapientiae* i wszystkie dochody, jakie miał z pieczęci, na ubogich oddawał.

Nowa elekcyja i jego znów powołała na pole publiczne. Ubiegało się o koronę dwóch królewiczów, Jan Kazimierz i brat jego Karol Ferdynand; pierwszego popierał Ossoliński, drugiego Jeremiasz Wiśniowiecki, pogromca Kozaków, mający z tego powodu ogromną wziętość u szlachty. Czując że go nie zdoła przemódz, skłonił królewicza Karola że zaniechał starań o koronę, i Jan Kazimierz bez trudności został obrany. Ossoliński stał się głównym jego doradcą. Niezadowolony Kozacy, wzięli się do oręża, rozproszyli wojsko polskie wyprowadzone przeciwko nim przez księcia Ostrońskiego i Zbarańskiego, otoczyli drugie pod Zbarażem, a wreszcie pod Zborowem i samego króla, spieszącego na odsiecz. Położenie było niezmiernie krytyczne i jedynie mądrej radzie Ossolińskiego, co przy królu obowiązki generalnego regimentarza sprawował, winni byli obłączeni swoje ocalenie. Odwiódł on hana tatarskiego od związku z Kozakami, a potem i samego Chmielnickiego skłonił do proszenia króla o przebaczenie. Ułożone i podpisane zostały warunki ugody; ale potem, gdy ani Polacy ich spełnić, ani Kozacy na nich poprzestać nie chcieli i spodziewano się nowej wojny, król postanowił starać się o pomoc papieża i cesarza. W tym celu zlecił Ossolińskiemu poselstwo do rzeszy niemieckiej. Czując się osłabionym na zdrowiu, Ossoliński napisał testament, rozporządził swoim majątkiem i pożegnawszy oboje królestwo i swoją rodzinę, przygotowywał się do drogi. Ale w przeddzień wyjazdu, tknięty apopleksją, zakończył życie w sierpniu 1650 roku, w 55 roku życia.

Z Izabelli Daniłowiczówny, Ossoliński miał trzy córki: Helenę, Annę i Urszulę, z których pierwsza zaślubioną była Aleksandrowi Lubomirskiemu wojewodzie krakowskiemu, druga Zygmuntovi Denhoffowi staroście sokalskiemu, trzecia Samuelowi Kalinowskiemu obożnemu koronnemu, — i jednego syna, Franciszka starostę bydgoskiego i lubaczowskiego, ożenionego z Katarzyną Działyńską wojewodzianką pomorską, który umarł w młodym wieku, jeszcze za życia ojca. Z drugiej swęj żony, Elżbiety Firlejówny wojewodzianki sandomierskiej, kanclerz żadnego nie zostawił potomstwa.

Kronika tygodniowa.

Starożytni nazywali wiosnę biesiadą kwiatów.

Owóz zdaje się że obecnie tój biesiadzie brak będzie głównych jej ozdób. Wymrozone i wyziębione kwiaty nędznie i suchotniczo wychylają główki swoje z ziemi; zdaje się że nie dowierzają nawet ciepłu, które w bieżącym tygodniu przyszło nas choć trochę pocieszyć. Ogrodnicy się skarżą, że nadzieja dobrego zbioru owoców przepadła prawie zupełnie. Na zboża

jednak pogoda ta nienormalna nie wywarła tak niepożytecznego wpływu, jakby się spodziewać należało. Pszenice zwłaszcza bardzo pięknie już teraz się pokazują, żyta trochę więcej ucierpiały, ale zaczynają się poprawiać, i Bóg da że w tym roku nie będziemy się żalić na urodzaje.

Po wsiach stosunki pomiędzy włościanami a właścicielami ziemskimi polepszyły się znacznie w tych czasach. Zaufanie wraca; roboty wszędzie prawie idą porządnie, w wielu nawet miejscach, gdzie włościanie, obalamuceni chwilowo, odmawiali robocizny, potrafiło prostem tylko odezwanieniem się do rozsądku i przekonania, nakłonić ich do porzucenia tój błędnej drogi.

Ale raz jeszcze powtarzamy, że tam gdzie oświata stała się choć trochę przynajmniej ogólniejszą, tam gdzie chociaż część włościan umie czytać, łatwiej daleko przemówić do ich przekonania. Ciemnota jest najważniejszym wrogiem naszym; ona to sprawia, że proste, zasadnicze wyobrażenia o samem prawie własności, bywają w wielu miejscach tak słabe, iż niektórym włościanom okup się zdawał najniesprawiedliwszą rzeczą, iż owszem sądzili że wolno im będzie oznaczać części według swojego upodobania i wymagań, że szkoda cudzą.

Już to trzeba przyznać, że na rozsiewanie niezgody, na zamęcie wyobrażeń wiele bardzo wpływa plemie pokątnych doradców, sadowiających się po miastach i miasteczkach i wywierających ztamtąd wpływ na włościan okolicznych. Ci ludzie, których typ tak wybornie skreślił Anczyc w swoich Łobzowianach, są najstraszliwszą plagą niszczącą spokojność domową wiejskich osad naszych i zakłócającą wszędzie stosunki. Życie ich jest ciąglą tylko namową do procesów, do skarg, do klótni. Nie dbają o powody, o prawo, o słusność. Wszystko im jedno czy oskarżać dziedzica, czy plebana, oficjalistę, czy urzędnika, byleby papieru trochę mózdz zaczerpnąć. Za parę złotych gotowi oni napisać skargę na samego Pana Boga. D'a włościan papier i pisanie ma jeszcze jakąś czarodziejską władzę; wierzą oni ślepo wszystkiemu czego nie rozumieją. A trudnoby nawet wypowiedzieć, jakie nieraz pokątny doradca rozsiewa pomiędzy nimi wyobrażenia. Ciekawe byłoby przeglądanie prośb co chwila przez nich wnoszonych, które naturalnie po większej części do akt składane być muszą. Występują tam najdziksze pretensye i zażalenia, w śmieszny nieraz sposób sformułowane.

W Warszawie, na jednej z główniejszych ulic miasta, znajduje się ogródek z tak zwaną bawaryą, ciągle napelniony pijącymi. Otóż ogródek ten jest uprzywilejowanym siedliskiem pokątnych doradców. Tam oni obrali siedzibę swoje, tam królują i odbywają swoje narady. Na dziesiątki, na setki liczyć ich tu można. Każdy z nich ma przy sobie w pogotowiu kałamarz, pióra, a nawet papier stempłowy na prośby. Ubogi lud miejski, jak również włościanie z okolic bliższych Warszawy, wiedzą dobrze o tój schadzce i przychodzą tam szukać swoich opiekunów i dobrodziejów. Zaraz więc na miejscu, jeżeli potrzeba, odbywa się konferenecja, naturalnie mocno zasilana libacjami piwa bawarskiego, oraz jakąś przekąską. Trzeba słyszeć jakimi dowodzeniami ci ichmoście potrafią oszalać biedny lud. Przechwalają się ze swojej znajomości prawa, ze swoich stosunków, ze zręczności w wyrabianiu spraw. Ztamtąd to, jak z kuchni nieustającej ani na chwilę w robocie, wychodzą coraz dziwniejsze wieści o nowych bajecznych urzędzeniach, i z szybkością piorunu rozchodzą się pomiędzy ludem naszym wiejskim, wierzącym im jak słowom ewangelii.

Ale nietylko pomiędzy włościanami pokątni doradcy szerzą swój wpływ i władzę, i w Warszawie przyczyniają się oni niemało do powiększenia drobnych spraw i pieniactw, zaprzatających bezpotrzebnie sądy, niszczących biednych ludzi, co nie umieją oprzeć się szkodliwym namowom.

Nieraz pokątni doradcy potrafią wcale spore uzbierać sobie dochody, chociaż bardzo rzadko obraca się to im na dobre. Tutaj najdoskonalej się stwierdza prawda starego przysłowia: „Maleparta idzie do czartha.“ Są to bowiem mniej więcej wszystko ludzie nałogowi, pijacy z rzemiosła, i cały zysk ze spraw ich i szachrajstw, przechodzi zwykle na piwo bawarskie i wódkę.

Pomimo kar na pokątnych doradców oznaczonych, pomimo pilnego śledzenia ich przez sądy i natychmiastowego karania, plemie to rozrasta się ciągle i kwitnie. Większość składają zwykle urzędnicy lub oficjaliści, wypędzeni ze służby za jakieś nadużycia, i obznajmieni ogólnie z przepisami administracyjnymi i prawnymi. Dawniej starozakonni przeważali tu liczbą, dzisiaj jednak stanowią oni mniejszość. Choroba ta społeczenska, jak wiele innych, z szerzącą się oświa-

tą utraci na swojej sile i szkodliwych skutkach; dzisiaj zaś, kiedy niepodobienstwem jest jeszcze do szczeru złe wykorzenie, musimy je znosić, starając się przynajmniej żeby ile możności najmniej szkodliwe przybrało rozmiary.

Ogrody wód mineralnych, w zeszłym jeszcze tygodniu otwarte, zaczynają się powoli napelniać, dotychczasowe bowiem zimna przeszkadzały chorym liczniej zapisywać się na kuracyę. Dobrzeby było żeby choć w części te zakłady miejscowe zastąpiły wyjeżdżanie do wód zagranicznych, do których zwykle moda tylko zwabia. Obecnie należy nam się powstrzymać więcej niż kiedykolwiek od tych podróży nader mały wywierających wpływ na zdrowie, a w zamian niszczących znakomicie nasze zasoby pieniężne, i tak już bardzo ograniczone.

Cudzoziemcy, Niemcy w szczególności, uważają już sobie za stały dochód pieniądze wydawane u nich corocznie przez rodaków naszych. Widzimy to z ogłoszeń po gazetach, które, gdy tylko piękna pora sposobna do podróży nadejdzie, mnożą się nieskończenie. Krawcy wrocławscy mianowicie, donoszą peryodycznie o swiętych swoich i tanich wyrobach, upraszając żeby im publiczność polska nie cofała swojego zaufania, które im ciągle zaszczyca. Toż samo modniarki, sklepy nowości i hotele. Zdawałoby się że oni wszyscy z Polaków żyją, bo wszelkimi sposobami starają się wyzyskiwać naszą sympatyę pieniężną. Niemiec trzyma hotel, oświadczając że wyłącznie tylko rachuje na panów Polaków, którzy do jego hotelu powinni tłumnie zajeżdżać. Znakomitsze sklepy prowidują się w subjektów mówiących po polsku i znających o ile możności miejscowe nasze stosunki. I rzeczywiście zadziwiająca jest rzeczą, jak kupcy wrocławscy znają prawie każdego z naszych podróżników i wiedzą nawet wiele komu kredytować. Zmarły już Immerwahr sam się przyznał w rozmowie poufnej, że największą część swojego milionowego majątku zarobił na Polakach; toż samo Sachs i inni. A żeby panie nasze, które tak są szczęśliwe z unizonego przyjęcia jakie ich od kupców niemieckich spotyka, dowiedziały się jak oni potem się śmieją z ich miłości własnej i chęci błyszczenia nad stan, sameby się wstydzily swęj łatwowierności. Umyslnie piszemy to teraz, kiedy nadechodzi pora peryodycznych podróży; może też słowa nasze choć kilku ochronią od tój zgubnej manii.

Ogłaszają obecnie jakieś *trains de plaisir* do Paryża. Cała podróż tam i napowrót ma kosztować 25 r. s., z zawarowaniem osmiodniowego pobytu w stolicy francuzkiej. Jest to także łapka na wyzyskiwanie pieniędzy. Czyż sądzicie że ten nawał podróżników, który się w Paryżu zjawi, korzystając z tój rzeczywiście niskiej ceny, mało tam zostawi pieniędzy? Towarzystwo które zrobiło to ogłoszenie wie dobrze co czyni. Ale ludzie rozsądni wówczas dopiero bawią się za domem, kiedy u nich w domu jest porządek i zamożność. Pierwszym obowiązkiem jest pilnować oczystych ścian, żeby się nie zawaliły, zanim pojedziemy wycierać kąty obce dla prostęj zabawy. Czas teraz się upamiętać i zaprzestać starać się o *zaszczytne* (!) wzmianki w felietonach paryzkich. Pokażmy że nazwa lekkomyślnych, jaką cudzoziemcy Polaków oznaczają, jest nieuzasadnioną. A zresztą, po co nam te wszystkie świetności? Wszakże zbytłowne stroje wyszły u nas zupełnie z mody, wątpię zaś, żeby ci co pragną bawić za granicą, chcieli się wyrzekać rodaków swoich i odróżniać się od nich, chociażby w powierzchownem tylko zachowaniu się.

Autor komedyi *Dla miłego grosza*, Apollo Korzeniowski, znajduje się obecnie w Warszawie. Warto by dyrekcya skorzystała z bytności jego tutaj, bo jeżeliby w przedstawieniu tój komedyi na scenie naszej miały zająć jakie zmiany, najlepiej to byłoby uskutecznić, kiedy sam autor znajduje się na miejscu. A przynajmniej posiada on może jaką inną nowosć dramatyczną w tece, powiedziano zaś jest: „Pukajcie, a otworzą wam.“ Dobrzeby więc było, żeby dyrekcya zapukała.

Zapowiadają nam nowe pismo peryodyczne pod tytułem *Jutrzenka*. Będzie to tygodnik dla Izraelitów, którego redakcyi podjął się pan Daniel Neufeld. Sądzę, że nie wychodząc ze swojego zakresu, tygodnik ten będzie miał przeważnie na względzie sprawę ogólną, z którą dobro Izraelitów jest jaknajściślej związane. Przemawiając w duchu zgody i połączenia, który tak szczęśliwie już obecnie w ogół zaszczytowanym został, nowe pismo najlepiej odpowie swojemu celowi. Przedewszystkiem idzie o to, żeby miano Izraela, tak z *Jutrzenki* jak i z innych pism zostało wykreslonem, a zastąpionem być mogło mianem Polaka wyznania mojżeszowego, i nie wątpimy że to nastąpi, przy zobopólnych dobrych chęciach.

pozwolenie królewicza, obdarzony przezeń szablą w złoto oprawną i listami do ojca, króla i królowej, odjechał do Warszawy, gdzie przy wdowie po sławnym z odprawionych poselstw Pawle Uchańskim, wojewodzie belzkim, gościła wnuczka Izabella Daniłowiczówna, córka podskarbiego kor., panna piękna i bogata. Powziąwszy ku niej stateczną skłonność i poznawszy, iż mile w tym domu jest widziany, zwierzył się babce ze swych zamiarów i zyskał stanowcze przyrzeczenie. Ale, jak sam mówi, „nie miał jeszcze swego kącika, gdzieby konia mógł rozkulbaczyć,“ a ojciec ociągał się z rozdziałem majątku, nie śmiając Jerzemu naznaczyć równego działu z innymi braćmi, gdyż po matce, która wniosła znaczne dobra, miał prawo otrzymać udział nierównie większy. Dowiedziawszy się od przyjaciół ojca o tych jego skrupułach, sam go uprzedził i urządził wszystko, jak dobry syn i brat, ciesząc się tém, że w liczbie przeznaczonych mu włości przypadł i Klimontów, gniazdo jego przodków. „Miłość ta moja ku ojcu i braci, powiada w swym dyaryuszu, sownie mi się nagrodziła od samego Boga, hojnym jego błogosławieństwem tak w majątnościach, w których za łaską jego a uczciwem mojem staraniem prędko mych braci wyściągnał, jako i w rzeczach; jednego śpienia po tak dostatniej matce nie wzięwszy, mam aż nad kondycją moją.“ Po dopełnionym rozdziale majątkowym, wkrótce zaślubił podskarbiankę. Wesele odbyło się w Warszawie z wielką trzydniową uroczystością, a król z tej okazji mianował Ossolińskiego swoim podkomorzym.

Około tego czasu Turcy, uzuchwaleni klęską zadaną Polakom pod Cecorą, sposobili wielkie siły, aby z nimi ciągnąć na Polskę i stanowczo ją podbić. Do wszystkich prowincyj rozesłano rozkazy, aby się zbierały zbrojnie. Nigdy jeszcze tak groźna burza nie zawisła nad Rzeczpospolitą. Sejm uchwalił 60,000 wojska, z którym miało się połączyć 40,000 Kozaków zaporozkich, a nadto wyprawiono poselstwa do papieża, cesarza i przedniejszych państw chrześcijańskich, prosząc o posiłki w ludziach i pieniądzech przeciwko wspólnemu wrogowi. Ossoliński, chociaż jeszcze młody, ale dobrze zalecony rozumem i wymową, wysłany został do króla angielskiego Jakuba I. W niedostatku skarbu publicznego, zaopatrzony w pieniądze przez teścia swego Daniłowicza, z wielu panietami polskimi i licznym dworem, w końcu stycznia 1621 roku wyruszył w podróż. Po upływie dwóch miesięcy przybył do ujścia Tamizy, którą na barce królewskiej dobiegł do Londynu. Tu wysiadającego na ląd witał imieniem swego pana hr. Warwick i odwiózł do pałacu królewskiego, gdzie mieszkał przez cały ciąg swego poselstwa. Nazajutrz na posłuchaniu publicznem witał Ossoliński króla mową łacińską, która wydrukowana w pięciu językach, rozeszła się w tysiącach egzemplarzy. Na następne posłuchanie gorąco przełożył wspólny interes i wspólne niebezpieczeństwo całemu chrześcijaństwu i dopraszał się wolnego zbierania ludzi w krajach W. Brytanii, przeprowadzenia ich do Gdańska na okrętach angielskich, tudzież aby król poczem jakim znacznym lub sumą pieniężną Polskę przyszedł w pomoc. Jakub I oświadczał się z wielkimi chęciami dla Polski; ludzi pozwalał zaciągać, lecz przysłania wojska całkiem odmówił, składając się niepewnością stosunków z domem rakuzkim, przeciwko któremu zachowywał wszystkie swoje siły. Tym sposobem jedynym owocem poselstwa było uzyskanie pozwolenie do robienia w Anglii zaciągów. Ochotników obznajmionych z wojskowością było dosyć; ale nim nadeszło z Polski upoważnienie królewskie do ich zbierania, choć Ossoliński wysłał w tym celu umyślnego, nim zaciąg uzupełniono i przewieziono do Gdańska, sprawa turecka skończyła się pokojem choceńskim.

Gdy wkrótce potem nastąpiła wojna z królem szwedzkim Gustawem Adolfem, który korzystając z zatrudnienia Polaków na południowej granicy, zajął Rygę z całemi Infantami i zdobywał Prussy, Ossoliński własnym kosztem liczną wystawił chorągiew. Wyznaczony potem kommissarzem do układania się ze Szwedami o pokój, doprowadził go do skutku, a król, nagradzając te jego usługi, mianował go podstolim koronnym.

Posługując na sejm 1634 roku, obrany marszałkiem, przewodniczył obradom. A był to sejm nadzwyczaj burzliwy, bo Zygmunt III, czując się bliskim zgonu, chciał zapewnić tron synowi swemu Władysławowi; ale szlachta, troskliwa o najważniejszy swój przywilej, o wolną elekcją, utrzymywała ją w swój mocy, zapewniwszy tylko, za staraniem Ossolińskiego, opatrzenie dla dzieci królewskich.

Po śmierci Zygmunta III, królewicz Władysław, chociaż z podniety Kazanowski dług niechętny dla Ossolińskiego, już wówczas podskarbiego nadwornego, zbliżył się do niego szczerze i często zasięgał jego rady.

Gdy stany Rzeczypospolitej zebrały się na elekcją, Władysław wyprawił do nich w poselstwie Ossolińskiego, który swoją wymową łatwo zjednał mu głosy wszystkich.

Aby uzyskać pomoc Urbana VIII do uśmierzenia niesnasków jakie oddawna dzieliły w Polsce stan duchowny i świecki, a za ostatniego bezkrólewia jeszcze bardziej wzrosły, zakończyć spory jezuitów z akademią krakowską i zawiadomić papieża o swoim obraniu na tron, Władysław IV wyprawił do Rzymu uroczyste poselstwo, poruczając je Ossolińskiemu. Wjazd jego do Rzymu jest jednym z najświetniejszych wystąpień, o jakich wspomina historia. Młodzież najpięrszych domów polskich przyłączyła się do orszaku posła, tak iż policzwszy stajennych, kuchennych, służbę, wynosił on przeszło 300 osób; samych koni podwodowych najwyborniejszej rasy, należących do posła, prowadzono 30; rydwanów pod rzeczy, oprócz karet, szło 20. Z tak liczny orszakiem 23 września 1633 roku wyruszył Ossoliński z Krakowa; krewni i przyjaciele przeprowadzali go do granicy niemieckiej. W Niemczech już rozszedł się ogłos o wspaniałym jego pochodzie; gubernatorowie miast i panowie niemieccy, jedni z rozkazu cesarskiego, drudzy z uprzejmości, po drodze zapraszali go do swoich zamków, racząc wspaniałymi ucztami, biciem z dział, muzyką i dostarczając karet i koni do podróży. W Wiedniu nader gościnnie przyjmował go cesarz, a gdy przebył góry styryjskie i wjechał do Włoch, kardynałowie, krewni papieży Barberini i znakomici panowie włoscy, tudzież panowie polscy bawiący we Włoszech, wyjeżdżali ze swymi dworzanami na jego spotkanie i łączyli się do orszaku, który coraz więcej rósł w liczbę i wspaniałość. O sześć mil od Rzymu powitali go sekretarze wszystkich poselstw, a wkrótce potem spotykali posłowie cudzoziemscy, których niezmiernie dziwiło, że Ossoliński z każdym z nich mówił jego własnym językiem. Przybywszy do bram Rzymu, zostawił swój orszak w willi papieżkiej, a sam w zamkniętej karecie, z kardynałem de la Tore protektorem Polski, pojechał przedstawić się papieżowi (20 listopada). W siedm dni potem odbył wjazd uroczysty do świętego grodu, wjazd tak rozgłosny wówczas swym przepychem pomiędzy obcymi, że chociaż niejednokrotnie go już opisywano, uważamy za stosowne powtórzyć tu raz jeszcze szczegółową o nim wiadomość.

W niedzielę 27 listopada, gdy do willi za miastem leżących zjechały się dwory papieżki, kardynałów i posłów cudzoziemskich, oraz niezmierna moc kawalerów, hrabiów, margrabiów i książąt, wsiadł Ossoliński na konia o godzinie drugiej i ruszył ku bramie flamińskiej.

Na czele jechało dwóch furyerów Ossolińskiego, po polsku w suknie szkarłatne ubranych, na dzielnych koniach; za nimi szły wozy, sukmem karmazynowem, z wyszytymi na niem herbami posła przykryte, w liczbie 22.

Nastąpiło potem 40 wielbłądów, z dzwonekami srebrnymi na szyjach, dekami jedwabnymi złotem tkanymi przykrytych, które prowadzili Persowie, narodu swego obyczajem, bogato ubrani i w zawojach. Po tych widać było 4 trębaczów najprzedniejszych, po polsku w zielone aksamitne suknie z pętlcami złotymi przystrojonych, za którymi szła gwardya posła z 34 ludzi złożona; konie pod nimi piękne, sami w sukniach jedwabnych złotem przesywanych, mieli flinty, pistolety i białe pióra u czapek.

Za nimi szła chorągiew papieżka, z samą szlachty złożona, a po niej dworscy kardynałowie, mający każdy na ramionach kapelusz kardynalski.

Niedaleko od nich jechało 30 pokojowych posła, na dzielnych koniach, w rzędach srebrnych, wszyscy barwisto w suknie polskie aksamitne, koloru niebieskiego ubrani, mając na sobie sajdaki, zwyczajem tureckim w srebro oprawne. Poprzedzał ich giermek posła Chociszewski, starzec poważny, tarczą bogatą uzbrojony i zwyczajem perskim strzałę w rękę trzymający, ze skrzydłami do kulbaki przypiętymi. Suknie na nim złotem, perlami i drogiemi kamieniami tak bogato były ozdobione, iż wszystkich na siebie oczy i podziwienie obracał.

Za pokojowymi prowadzili po persku bogato ubrani maszalerze pięć najdzielniejszych koni tureckich. Na każdym rząd i kulbaka drogiemi kamieniami ozdobione; na jednym mianowicie koniu siedzenie było samemi dyamentami całe okryte, a na czole konia sztuka z klejnotów tak bogata, iż ją szacowano na 20,000 skudów, co niemal 40,000 dukatów wyniesie.

Ale najwięcej to zadziwiała wszystkich, że u trzech z tych koni podkowy były złote i niektóre umyślnie tak słabo przybite, że mogły odpadać: jakoż dwie na części złamane, odpadły i pospółstwu się dostały.

Za temi końmi jadący koniuszy posła z buławą srebrną, prowadził 20 dworzan poselskich bogato ubra-

nych, przy złotych karabelach. Tuż za nimi jechało 16 dworzan posła hiszpańskiego, oraz wielka liczba kardynalskich i innych panów krewnych.

W niejakiu odstepie jechało 20 przedniejszych dworzan polskich, na przepychy ustrojonych, którym przodował Jakub Zieliński, marszałek dworu, mający w rękę buławę srebrną. Po bokach jego jechali dwaj kawalerowie; tuż za nimi postępował książę de Richemont, krewny posła francuzkiego, z liczny orszakiem zbrojnych dworzan, a za nim dworzanie papieży.

Nastąpił po nim różni panowie polscy, z których jedni umyślnie do Rzymu przybyli, dla pomnożenia wspaniałości tego wjazdu, drudzy, już dawniej tam będąc, i siebie i ludzi swoich ofiarowali posłowi na tę usługę. Wszyscy przepysznie ubrani, jechali na dzielnych rumakach, po trzech lub parami, a każdemu towarzyszyło dwóch kawalerów rzymskich, po bokach jadących.

Najwięcej jednak zwracał uwagę Ciekliński, sekretarz królewski. Jadąc na dzielny koniu arabskim, czynił obroty niepojętej szybkości, tak dalece, że łańcuch złoty do munsztuka przypięty, koń pod nim osobiwszą sprawnością na drobne kawałki poszarpał i pospółstwu na łup rozrzucił.

Za długim sznurem panów polskich, jechał wreszcie poseł, mając po lewej ręce sufragana gnieźnieńskiego Gembickiego, sekretarza poselstwa. Gdy stanął w bramie, spotkany został przez dwóch prałatów wysłanych przez papieża, z których jeden, Faustopoli arcybiskup amazyjski, jechał po lewej jego ręce, a drugi Kajetani patriarchy aleksandryjski, po prawej. Po bokach szło 30 piechoty polskiej pięknie ubraną, z guzami i piórami srebrnymi.

Posel miał na sobie suknie bogato złotem haftowane i tak przy żupanie jak i zwierzchniej szacie po 20 sporych guzów, każdy z jednego dyamentu i po 20 pętlcy dyamentowych. Karabela złota, klejnotami sadzona, na 20,000 złotych pol. szacowana. Siedział na dzielny tureckim rumaku, mającym podkowy złote. Na głowie konia były pióra czarne, a przy uszach czuby, gęsto dyamentami przeplatane. Całe siedzenie, nawet strzemiona, drogiemi klejnotami miał sadzone.

Temu pięknemu widokowi dodawała jeszcze ozdoby osoba samego posła, który był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn swojego wieku i dzielnie trzymał się na koniu.

Nietylko Rzymianie, ale i cudzoziemcy wyznawali, iż nigdy nie widzieli tak wspaniałego wjazdu. Upamiętnion go też malowidłami i sztychami, a między innymi znany rytownik włoski Stefan della Bella, wykonał wjazd ten na sześciu półarkuszach jeden pas składających.

Rezultatem tego poselstwa było wyjednanie żądanych poleceń papieżkich do polskiego duchowieństwa i załatwienie sporu z jezuitami. Na pożegnalnym posłuchaniu obsypany kosztownymi podarunkami, otrzymał tytuł książe dla siebie i swych potomków, dziedzciców Ossolina.

Z Rzymu, kosztem Barberinich, krewnych papieża, dojechał do Florencji, żądając po nader świetnych przyjęciach udać się do Wenecji, chcąc tę potężną morską Rzeczpospolitą wciągnąć do związku przeciw Turkom, tudzież zawrzeć z nią traktat handlowy. Poselstwo szło pomyślnie: Rzeczpospolita obiecywała oczyścić swoim kosztem z porohów rzekę Dniepr, zbudować kilka fortec u jej ujścia, dla ubezpieczenia handlu swego z Polską od Tatarów, i wspierać Polskę w razie wojny z Turkami. Z Wenecji udał się do Wiednia, gdzie najprzychylniej przyjęty od cesarza Ferdynanda II, uzyskał od niego obietnicę posiłków, a dla siebie i następców swoich znowu tytuł książe.

Za powrotem do kraju, Ossoliński w połowie 1636 roku otrzymał rozkaz udania się na sejm rzeszy niemieckiej do Ratysbony. Miano tam obierać króla rzymskiego, i wielu elektorów namawiało Władysława IV, aby przyjął tę godność, obiecując mu swoje głosy; nasz poseł jednak otrzymał zlecenie popierania syna cesarskiego, a dla króla polskiego prosić miał o rękę Cecylii Renaty, córki cesarza. Poselstwo to podwójnie było mile dworowi niemieckiemu, bo i syn cesarski obrany został, po usunięciu się współzawodnika, i Cecylia Renata, przyrzeczona Władysławowi IV w małżeństwo, w następnym 1637 r. przybyła do Polski. Powitana u granicy w imieniu króla przez Ossolińskiego i przyprowadzona do Warszawy, koronowaną została 12 września. Ossoliński za swoje zasługi otrzymał województwo sandomierskie, a niedługo potem mniejszą pieczęć koronną.

W tymże roku, pod pozorem zwidzenia starostw swych Baturyna i Konotopu, za Dnieprem położonych, wyjechał na Ukrainę i dokładał usiłowań, aby wyrozumieć skargi Kozaków i pojednać ich z Rzeczpospolitą. Czy woził i jakie listy królewskie do ich starszyzny, jak to wieść nosła, niewiadomo; widać jednak

KASZUBY.

Ostatnią nadmorską języka naszego strażnicą, w najważniejszym, bo u samego ujścia Wisły, położeniu, są *Kaszuby*, o których dzisiaj powiedzieć cośkolwiek zamierzamy. Pisząc z niedokładnych wspomnień przed kilkunastą laty odbytej podróży, tudzież z bardzo szczupłych i niezupełnych źródeł, damy tu o nich wprowadzić powierzchowne tylko i ograniczone wiadomości; lecz nim się znajdzie ktoś, co by szczerzej i gruntowniej poznał ich i opisał, chcieliśmy tymczasem zwrócić uwagę czytelników naszych ku temu na wszelkie ze strony naszej współczucie zasługującemu plemienu.

Kaszubowie są tak czystym plemiem polskiego szczepu, jak Krakowiaki, Mazury, Szlązacy, Wielkopolanie. Znaczniejsze różnice jakie dziś pomiędzy ich mową, a piśmiennym naszym zachodzą językiem, są skutkiem ich długiego usunięcia od ogólnego umysłowego słowiańskiego ruchu.

Od niepamiętnych czasów zamieszkiwali oni obszerny klin ziemi, pomiędzy morzem, a rzekami Wisłą, Notecią i Prośnicą (Persante) położony. Przez długi czas różne ziemi tej powiaty, prawem lennem lub pod-

Krzyżacy, aż w r. 1637 król Władysław IV cały kraj Kaszubów pod swoją złączył władzą. Ale już 1657 r. Jan Kazimierz traktatem welawskim odstąpił znowu powiatów łabyborskiego (Lauenburg) i bytowskiego

Obecne, niesłychanie uszczuplone, kaszubskiego narzecza granice, mniej więcej w następny oznaczyć można sposób. Od północy morze Bałtyckie, tu u nich *Wielkiem* zwane, na wschód, od strony Gdańska,

rzeczka Rudawia, na południe źródła rzeki Fersy, na zachód rzeka Słupa (Stolpe) w Pomeranii. Przeźrzeni granicami temi objęta, wynosić może około 8 mil wzdłuż, a 7 w szerz, czyli od 50 do 60 mil kwadratowych. Od wschodu i zachodu mają Kaszubi za sąsiadów Niemców, i tylko od południa, wązkim klinem ponad Wisłą, stykają się z resztą polskiej ludności.

Podług dzisiejszego podziału zamieszkuje Kaszubi w dwóch państwach pruskiego prowincjach: w Pomeranii i w Prusiech zachodnich. W pierwszej z nich, od dwustu lat z górą pod panowaniem niemieckim zostającej, szczupła ich już tylko, zaledwie 8000 licząca, znajduje się garstka. W zachodnich Prusiech za to zajmują w przeważnej liczbie powiaty wejherowski (Neustadt), kartuzki (Karthausen) i kościerzynski (Behrendt). O ile ze statystycznych sprawozdań pruskich sądzić można, ludność kaszubska w tych trzech powiatach wynosi do 100



KASZUBY.

boju, dzierżyli naprzemian to księżęta pomorscy, to

w lenność margrabi brandenburgskiemu, w którego rękę odtąd ulgły na zawsze.

tysięcy głów, obok 40,000 Niemców i tysiąca kilkuset Żydów, których tu także do Niemców policzyć należy.



KONIK ZWIERZYŃIECKI. (Rysował Pillati.)

Nie umiemy powiedzieć, o ile terazniejsza siedziba Kaszubów zaleca się urodzajnością, ale to niewątpliwa, że należy do najpiękniejszych dawniej Polski okolic. Cała jej powierzchnia składa się naprzemian to z wesołych dolin, przez które przebiegają liczne rzeki, rzeczulki i strumienie, to znowu z pasm bujnymi lasami pokrytych, aż do tysiąca stóp wysokości sięgających wzgórz, z których szczytów odsłania się widok wspaniały na niespokojne, nieskończone morze. Niektóre krajobrazy, jak n. p. z góry Karola pod Oliwą, jak okolica Kartuz, jak z kepy Rucawskiej, zadowolnić mogą najbardziej wymagającego i z pięknosciami przyrodzenia oswojonego turystę.

Stolicą niejako kaszubskiej dzielnicy jest Puck (Putzig), nad zatoką od niego nazwaną położone, dość handlowe, ludne i historią swą posiadające miasto. Jeszcze w XII wieku przez Bogusława księcia pomorskiego założone, po wielokroć bywało przedmiotem upartych oblężeń, zaciętych szturmów. Już Zygmunt August urządził w Pucku port obszerny; czasy jednakże największej jego świetności przypadły za pa-

do 45,000 pobożnych. Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć, że supymowany przez rząd pruski klasztor z kościołem wykupili Kaszubi od tegoż rządu za 7000 talarów, i w ten sposób czci go religijnej zachowali.

Jakśmy już wyżej wspomnieli, język kaszubski jest czysto polskim narzeczem. Głównymi jego cechami są: dodawanie przydechu *w* w wyrazach od samogłosek się poczynających; odmienianie drugiego przypadku przymiotników na *ho*, zamiast na *go*, brak zupełny spółgłosek miękkich, i wyrzucanie w niektórych wyrazach, na podobieństwo Czechów, środkowych samogłosek. Tak więc Kaszub mówi: *wójc*, zamiast ojciec, *mojeho*, *twojeho*, *dzecc*, zamiast dziecię, *stolk*, zamiast stołek, i t. p.

Różnemi, dawniejszemi i nowszemi czasy, wyszło w narzeczu kaszubskim kilka pomniejszych drukowanych rzeczy. Maciejowski, w swoim Piśmiennictwie, wylicza trzy kaszubskie, z XVI i XVII wieku pochodzące pomniki; przed jakim zaś lat dziesiątkiem wykształcony i zacny Kaszub Cejnowa wydał w Gdańsku parę popularnych dla ludu swego pisemek. Jedno-

ta zupełnie od nas odmiennie, co przywyklemu do naszego jednostajnego akcentowania uchu, czyni ich mowę z początku na pozór trudniejszą do zrozumienia, niż jest w istocie; że w skutku bezustannego zetknięcia z Niemcami, używają niektórych zwrotów języka i szczególnych wyrazów niemieckich, dodając takowym polskie zakończenia; że wreszcie i w tej szczupłej, jaka ich dziś pozostała, garstce, zauważać można niejaką różnicę w wymowie pomiędzy Kaszubami bliżej morza, a nieco w głębi ładu mieszkającymi.

Ludność kaszubskim mówiąca językiem, składa się głównie, z małym wyjątkiem kupczących i rękodzielników w miastach, z dwóch klas społeczeństwa; z drobnej szlachty i prostego gminu. Panowie, większa szlachta, podobnie tu jak na Szląsku, jaki w tyłu innych zgermanizowanych prowincjach, zniemczeli całkiem oddawna. Ci z pomiędzy mniejszej szlachty, którzy dotąd nie zaparli się słowiańskiego rodu swego, pochodzą po części z miejscowych, po części z osiadłych tu z innych stron Polski rodzin. Zwykle po kilku ich, w osobnych dworach, zamieszkuje wę wsi je-



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR JASNOGÓRSKI W CZĘSTOCHOWIE. (Rysował Podbielski, podług fotografii Beyera.)

nowania Władysława IV, który go silnie obwarował, uczynił główną stacją zamierzonej marynarki polskiej, przekazując na cel ten dochody ze wszystkich starostw pomorskich. W 1635 r. o warownie Pucka rozbiły się wszystkie wysilenia chcących go zdobyć Szwedów; wkrótce jednak potem, jak kraj cały, tak i to miasto i warownie jego podupadły. Aż do 1772 roku Puck był starostwem niegrodowym, tudzież miejscem gdzie się odbywały sądy i sejmiki ziemskie.

Drugim godnym uwagi miastem na Kaszubach jest Wejherowo, czyli Wejrowo, nad Rudawią, słynne ze swoich odpustów. Początek swój zawdzięcza Jakubowi Wejherowi, wojewodzie malborskiemu, staroście kierszporskiemu, czluchowskiemu i bytowskiemu, który pomiędzy 1635 a 1650, w skutek uczynionego ślubu, najprzód kościół z klasztorem oo. reformatów, a następnie tak zwaną *Kalwaryą* ufundował. Niedługo podczas świąt Wniebowstąpienia i Zielonych Świątek zgromadzało się tu około 30,000 pielgrzymów, nawet z bardzo odległych Polski okolic; i teraz jeszcze bywa

z nich, noszące tytuł: *Rozmowa Pólacha s Kaszeba*, mamy właśnie w ręku. Dla dania więc czytelnikom wyobrażenia, o ile obecnie narzecze kaszubskie różni się od czystej polszczyzny, podamy tu kilkanaście początkowych wierszy z tej humorystycznej rozmowy:

Póloch. Zkąd ti jesteś, chłopie?

Kaszeba. Jo jem z Kaszeb, panje.

Póloch. Co to są ci Kaszubi?

Kaszeba. Panje, je to kraj wód Boga zdovna wobjećani, kraj svjęti, v chterim mleko e mjod plenje; a le-dze, co v tim kroju mjeszkają, nazevają sę ledzami vebranemji, póchódzecemji wód Jizraela dovneho.

Póloch. Ja slišazem o vjelorakich Kaszubach.

Kaszeba. Jo, panje; e moj wójc, co beł bogati, bó mjeł sztere wołe e sztere kónje, a mjeszkeł vjele lat v jedni vsi kaszebski, dze beł przesęznim, narechóvel dwójakich: jedni są grebi, a dregi są Fein-Kaszebji. Grebi są ti, co njimają swójich przewjilejov, anje takich łask wód Pana Boga, jakje mają Fein-Kaszebji, chetři przez swóje męstwo... i t. d.

Winniśmy tu jeszcze dodać, że Kaszubi kładą akcen-

dnę; dlatego też ich lud *pankami*, to jest drobnymi panami nazywa.

Lud prosty mieszka w chatach, zewnętrzną powierzchownością, równie jak wewnętrznym urządzeniem, podobnych do chat naszych wieśniaków, od których zresztą tak pod względem obyczajów, jak i całego sposobu życia Kaszuby bardzo mało się różnią. Groch, kasza, kartofle, kluski, są ich zwyczajnym pożywieniem; mięso, szczególnie wiewprzowe, tylko w święta i uroczystości zjawia się na stole. Chleb pieką na wpół z żyta, na wpół z jęczmienia. Jest on czarny, twardy, ciężki i niezdrowy, ale nadaje zębom ich białość i blask słoniowej kości. Zwyczaj zachowane przy chrzcinach, zaślubinach i pogrzebach, przypominają obrzędy gminne różnych okolic naszego kraju. Przy pogrzebach jednak istnieje szczególniejszy, wyraźnie pogański obyczaj, że każdy z krewnych zmarłego wkłada do jego trumny jakąbądź część swęj odzieży, bądź promień włosów i t. p.

Zwyczajne ubranie Kaszuba składa się z wielkich, całą stopę obejmujących, podwójnymi podszewami i

sowitem podkuciem uzbrojonych trzewików, włożonych na grube, wełniane, do kolan dochodzące pończochy; z krótkich, ciemnych, płóciennych spodni; z sięgającego za biodra, na wpół z wełny i przędzy tkanego, *harneją* zwanego, kaftana i z okrągłej, futrzanej, na wierzchu sukrem krytej czapki. W święta *harneja* ustępuje miejsca ciemnobrunatnej lub ciemnogranatowej, bez żadnych fałdów sztyłej kamizeli, podobnie jak u naszych włościan na wrębach czerwonym ozdobionej obszyciem i na haftki zamiast guzików się zapinającej.

Zimą wkłada Kaszub na wierzch rodzaj krótkiego, wielce oryginalnego kozucha, złożonego z dwóch skór owczych, z których jedna przód, druga tył ciała okrywa. Kozuch ten ma przyszyte rękawy, a na piersiach na guziki się zapina. Butów rzadko kto używa, a natomiast osłania się nogi od zimna grubymi, do kolan dochodzącymi kamaszami. Artykułem szczególniejszej elegancji są rękawiczki, z różnobarwnych tkanek wełny i frendzlami koło pięści ozdobione, których wyrób umiejętny zasługuje na uwagę. Szyja, zimą również jak latem, pozostaje odkryta, bez żadnego na ostrość północnych morskich wiatrów względu.

Kobiety kaszubskie noszą wysoko na szyję zachodzące, gęsto na piersiach fałdowane koszule, i niezbyt długie, czerwone lub białe, spódnice. Piersi okrywa czarna, z dzianej w domu, półwełnianej tkaniny, na przodzie kolorową wstążką sznurowany stanik, z pod którego czerwona wygląda zakładka. Do świątecznego stroju wkłada się na to również czarny, z krótkimi połami, na haftki zapinany kabacik. Włosy plotą w dwa warkocze, które obwiązują w koło głowy. Dziewczeta kładą na nie najprzód rodzaj białej zawitki, następnie czarny, na szerokość dłoni wysoki, sztywny, często czerwono przyozdobiony kołpaczek, *zagłówek* zwany. Mężatki pod zagłównikiem noszą biały czepiec, z suto w koło głowy wystającymi falbanami.

Co do moralnego stanowiska, przymiotów i usposobień Kaszubów, gdybyśmy mieli zaufać piszącym o nich obcym autorom, niema pod słońcem głupszego, brudniejszego, chytrzejszego i nikczemniejszego plemienia. Ale wiemy z doświadczenia co zwykle sądy takie warte.

O ileśmy sami, przebiegając niegdys ich siedziby, Kaszubów poznać mogli, ani pod względem zdolności, ani skłonności wrodzonych nie stoją oni niżej od jakiegokolwiek innego plemienia. Głównymi przymiarami Kaszubów są powszechne słowiańskiego rodu wady: ta nieszczęśliwa lekkomyślność, nieradność, niegospodarność, niedbałość o jutro, które go prawie wszędzie wydały na łup snadny nieraz moralnie niższym, ale zaradniejszym i przebieglejszym przeciwnikom. Podobnie jak na przykład nasz wieśniak, Kaszub nie lubi pracować nad nieodzowną potrzebę, a dla uczczenia święta lub rodzinnej uroczystości, poświęca tygodni i miesięcy całych zapasy. Rad także, podług naszego przysłowia, zapomnienia na frasunki szuka na dnie kieliszka lub szklanki. Za to w jednym ważnym punkcie wyrodził się od *niezgodnego*, jak je nazwał Kollar, słowiańskiego plemienia. Nietylko w domach pojedynczych, gdzie nieraz zamieszkuje z kilkudziesięciu osób złożone i wspólnie gospodarzące rodziny, ale i w całych wsiach kaszubskich panuje budujący spokój i zgoda. Niema tu przykładów owego, tak pospolitego gdzieindziej, naruszania drobnotkowego sąsiedzkiej własności, szyan, klótni i processów, któreby wzboagały powiatowe sądy. Dla obcego sobie językiem, Kaszub jest mrukliwym, niedowierzającym, niechętnym, nieuczynnym, niegościnnym; lecz przed człowiekiem przemawiającym jego rodzinną mową otwiera się serce jego i dom, chętnie sadza go za swój stół ubogi i do wszelkiej gotów się staje usługi.

Wykształcenie umysłowe tego ludu stoi prawda dość nisko. To jednakże nie pochodzi z braku zdolności i lenistwa umysłowego Kaszubów, ale z braku sposobności wyższego kształcenia się w własnej okolicy. Założone od lat dwóch progimnazjum w Wejerowie, zapewne wyrze pod tym względem wpływ pomysłny i przyczyni się do podniesienia duchowego, tego ostatniego słowiańszczyzny nadbałtyckiej szczyłka.

KONIK ZWIERZYŃIECKI.

W oktawę Bożego ciała, lat temu niemało. Gdy po rynku obnoszono Chrystusowe ciało. Lud się modlił... między tłumy straszna wieść [przypada.

Kiedy nadejdzie tydzień obchodu uroczystości Bożego ciała, Kraków, wierny swoim tradycjom, wierny nazwie małego Rzymu, pamiętny że niegdys w swych niezbyt obszernych murach mieścił 77 świątyń Pańskich, modli się, śpiewa pieśni pobożne, ze skruszonym sercem towarzysząc dwunastu processjom, w cią-

gu oktawy po różnych ulicach, a głównie po obszer- nym rynku odprawianych.

Processy te odbywają się dzisiaj podobnie jak przed kilkoma wiekami i skład ich tak mało jest zmieniony, że gdyby który z kaznodziei zygmunto- wskich opuścił grobowe mieszkanie, ujrzałby wszystko, tak jak za swoich czasów: ten sam przepych i też pompe kościelna, te same złociste kapy, ornaty i opony, toż niepoliczone mnóstwo chorągwi kościelnych i cechowych, szeregi duchownych świeckich i zakon- ników różnych zgromadzeń i liczne bractwa, zielono, purpurowo, białe i czarno przybrane, na których cze- le postępuje czarne, zakapturzone, ponure arcybract- wo męki Pańskiej, z obrazami religijnymi przyszyte- mi na plecach, z latarniami i trupiami głowami za- tkniętymi na laskach processjonalnych.

Hymny pobożne, nieustanny i przytłumiony huk ko- tłów, odgłos mnóstwa dzwonek ręcznych, jęk dzwo- nów bijący w niebo z czterdziestu świątyń krakow- skich, dym kadzideł, szczególnie sprawiają wrażenie; zdawałoby się, że jesteśmy w jakimś mieście hisz- pańskim lub włoskim w czasach średniowiecznych, gdyby ubiory wieśniaczego ludu nie przypominały, że jesteśmy w Krakowie.

Tydzień przemija na nabożeństwie; przez tydzień widać lud cichy, pobożny, modlący się; lecz w dzień oktawy, we czwartek po południu, wszystko zmienia się do niepoznania: Krakowiaci wracają do stanu nor- malnego i z gwarliwą wesołością biegną uczestniczyć w obchodzie *konika zwierzyńieckiego*.

Sześćset lat temu, jak okrutny Mogoł, wyparty za- dzą łupieżstwa z dzikich stepów środkowej Azji, rzu- cił się na Europę, i brocząc mordercze dionie w krwi Słowian, w r. 1244 najechał Polskę. Niewieściego ser- ca król siedział wtedy na tronie Piastów. Nie był to Chrobry ani Krzywousty, chociaż imię Bolesława no- sił, i zamiast bronić swęj dziatwy, jak tamci bronili, uszedł na Węgry przed dziecią, a lud porzucił na łup pogaństwu. Uszli i zamożniejsi mieszczanie. Garska tylko rycerstwa i biedny gmin bronili klasztoru św. Andrzeja, co go był Konrad Mazowiecki forteczką uczynił, i na przekór srogiemu Bajdarowi, wziąć go nie dali.

Powtórzył się najazd w 49 lat później, i Kraków jeszcze więcej ucierpiał, bo i tym razem książę, cho- ciaż wstydlivy i pobożny, nie wstydział się przed Ta- tarami umykać. Nakoniec klęska po trzeci raz zajrza- ła w oczy miastu w r. 1287. Wtedy to poszło Mogo- łom trudniej, a naszym gładziej, boć i lud krakow- ski obeznał się z nawalą i doświadczył ze ostry miecz tak łatwo chwytą się tatarskiego, jako i innego mięsa.

Kroniki piszą, że się to stało około Bożego narode- nia; lud krakowski twierdzi że w oktawę Bożego cia- ła, a że w ten dzień od 600 lat corocznie bywa ob- chodzona pamiątka tego zdarzenia, niech więc kroni- ki prawią, niech przecz uczeni, chętnie im tę rzecz odstępuje, a za podaniem ludu ochoczko biegnę.

Otóż tedy Krakowiaci za ojcami swemi powtarza- ją, że w oktawę, podczas czwartej ewangelii, proces- sya nagle przerwana została strasliwą wieścią. Ucie- kające gromady wiejskiego ludu jękiem napelniają powietrze. Strażnik czuwający na wieży maryackiej uderza na trwogę i woła przez tubę, że Tatarzy prze- prawiają się od Zwierzyńca. Słychać dokoła modły duchowienstwa, łkania niewiast... Sami tylko mężo- wie spoglądają hardo, gotowi uderzyć na wroga, by- leby mieli wodza. Dokończmy tego opowiadania sli- cznym ustępem Edmunda Wasilewskiego:

Alle przedź dęby w lesie
Zegnij oddech burzy
I na wióry je rozniesie,
Nim Krakowiak stchórzy.
Przypadł włóczek (!) ze Zwie: zyńca,
Rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnawać
Piorunową chmurę.

Zanim w warkocz nocy
Słońce włosy zwiło,
Na wiślanym brzegu
Tatarów nie było.

Odbiegli zdobyłszy i duszy odbiegli,
I trupów taborem Zwierzyniec zalegli.

Przypatrzmyż się teraz jak krakowski lud ob- chodzi rocznicę wydobycia się z rąk tatarskich.

(1) Włóczkami nazywają w Krakowie ludzi trudniących się spławem drzewa na Wiśle. Mają oni na to przywilej, w nagrodę waleczności otrzymany. Najdawniejsze potwierdzenie tegoż, jakie wśród burz krajowych przechować się mogło, jest Władysława IV, następnie Jana Kazimierza (1667), Michała (1669), Jana III (1676), potem Sasów i Poniatowskiego. Prócz tego dziedziczą oni przywilej przebiegania się za konika, któ- ry z rodziny na rodzinę przechodzi, a od lat kilkunastu pra- wo to ma rodzina Miczińskich, zamożnych obywateli zwierz- yńieckich.

Podczas ostatniej processy, liczniejszej jak wszyst- kie, warsztaty i sklepy zamknięto w mieście i wszel- kie roboty przerwano. Processyja przez trzy ewange- lie odbywa się w zwykłym porządku, ale po trzeciej rozpoczynają się wcale nie przykładne dezercyje, w kie- runku ulicy Wiślniej, ku Zwierzyncowi prowadzącej.

Nareszcie w końcu ewangelii czwartej, odłącza się chorągiew włóczków z czterema proporczykami, a za niemi tłumy ludu opuszczają processyja, która sama do kościoła Maryackiego powraca, i wszystko pędzi ku Wiśle. Na plantacyach i gościńcu trudno się prze- cisnąć, bo już tłumy zaległy wszystkie przejścia. Okna, drzwi, balkony, dachy i drzewa zapelnione cieka- wmi. Niecierpliwiej dziatwie biją serduszka. Ba dzia- twie! toć każdy prawdziwy a serdeczny Krakowiak, chociażby 50 lat to dziwo oglądał, ciśnie się przez tłumy, ażeby być jaknajbliżej. Wszystkich oczy ku Zwierzyncowi zwrócone, rozmowy tylko o koniku się toczą. Nagle rozlega się gwar; okrzyk „już idzie! już idzie!“ wyrwa się z tysiąca piersi. Słychać w odda- leniu znaną melodyą, grzmi krakowiak włóczków, po- wiewa ich chorągiew cechowa, otoczona malemi cho- ragiewkami, zapał ogarnia tłumy, każdy się wspina, aby go ujrzyć; rodzice podnoszą dziatwę nad głowy; trzeszczą baryery, pękają gałęzie pod ciężarem ciekawych. Tu- man kurzawy otacza bohatera uroczystości. Wresz- cie pojawia się strasliwy Tatar, z ogromną brodą, w żółtym turbanie i żółtych butach, z przeraża- jącym wzrokiem i ogromną buławą. Zda się że to Dżengis-han, Baty lub Bajdar powstał z grobu. Nie, to dzielny włóczek zabił tatarskiego Murzę i ustro- jony w jego szaty, wraca na czele zwycięzców, a lud krakowski go wita. Tatar toruje sobie drogę wśród tłumów i ciężkim buzdyganem na wszystkie strony uderza. Za każdym ciosem pierzchają szybko prze- rażone tłumy, lecz jeszcze prędzej zamykają go na- powrót w swoich odmętach. Każdemu uderzeniu nie jęk śmiertelny, ale pusty śmiech towarzy- szy. Mało tam strachu, a wcale nie bólu, boć buła- wa, chociaż wielkości głowy dziecięcej, jest tylko kulą skórzaną, wyдутą powietrzem. Konik przebiega w po- przek plantacyj i starém przyzwyczajeniem wiedziony, zatrzymuje się przed spalonym i opuszczonym pała- cem biskupów krakowskich, jak gdyby oczekiwał ry- chło ukaze się książę siewierski i jak zwykle czer- wony złoty wyrzuci; potem pospiesza w rynek. Tu przestrzeń 41,000 sążni kwadratowych zaległy fale ludu, co jak łąka kwieciami pokryta, wygląda barwi- sto i w nieustannym zostaje ruchu. Strojni ubiorek bogatej mieszczanki, kosztowny kapeluszy panama, a tuż obok kraciaste wstęgi wiejskiego dziewczęcia i czer- wona czapka nasunięta na ucho zuchwałego parob- czaka; konik wyprawia harce, muzyka gra bez prze- stanku; chorąży zręczne młynki ogromną chorągwią ponad głową robi; datki sypią się hojnie, wśród we- solych okrzyków.

Wreszcie Tatar, zmęczony parogodzinem dźwiga- niem konia (2), wraca na Zwierzyniec; wezbrane fale ludu płyną napowrót do zwykłego łożyska; po plan- tacyach i ogrodach toczą się rozmowy o starożytnym zwyczaju; zgiełk zmniejsza się i ustaje; zmierzch za- pada, i.... wszystko wraca do zwykłego stanu, odkła- dając do roku przyszłego powtórzenie staręj pamiątki.

Otóż i obchód *Konika*. My opis jego zamykamy wrotką poety:

W tatarskim ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrz się jak włóczek harcuje po błoni.
Jak wtedy harcował, do dziś dnia harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje,
Każdy z nas szanuje, a kto się zapiera
Pamiątki swych ojców, tym wiatr poniewiera.

(2) Jestto koń drewniany, sztuczny, z całym ubraniem i cza- prakiem tatarskim, którego osoba udająca konika na szelkach nosi, a na własnych nogach wyprawia harce.

Wł. L. A.

CZĘSTOCHOWA.

KLASZTOR I KOŚCIÓŁ NA JASNEJ-GÓRZE.

Po starodawniej stolicy Krakusa, żaden gród na obsza- rach dawniej Rzeczypospolitej nie jest tak głośny i po- ciągający serca wszystkich, jak kościół paulinów na Jasnej-Górze, słynny cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Tam wielkość przeszłości zgasłej przy- pomina się w milczących sarkofagach królów i zna- komitych mężów, w tysiącu pamiątek rozspanych tak w mieście samém, jak w okolicach jego; tu na szczy- cie góry, w szczupłym obrębie murów, obraz cudownej patronki, co osłoniła je płaszczem swęj opieki od zape- dów zajadłego Szweda, a natchnąwszy wiarą i boha- terstwem garstkę dzielnych obrońców, odparła bitne a liczne zastępy najezdników, uderzających w nadziei

bogatych łupów zapamiętało do szturm, a tą obroną świętego miejsca, zagrzała upadłego ducha w narodzie.

Obrona Częstochowy na kartach dziejów naszych wydatniejsze wspaniale; ona, podniósłszy zapał i poświęcenie z długiej osłupiałości, otwarła drogę nieszczęśliwemu Janowi Kazimierzowi, z tułaczki na obcej ziemi, do kraju i tronu.

Od tej chwili Częstochowa brzmi rozgłosnie, tak w pieśniach pobożnych ludu naszego, jak i w przyśłowiach narodowych, a tysiące pielgrzymów wznosi corocznie u stóp cudownego obrazu gorące modły, błagając pomocy i opieki dla domowego ogniska.

Początki Częstochowy giną we mgle wieków. Pierwsze wspomnienie o niej znajdujemy w r. 1377, jako należącej do Władysława, księcia na Opola szląskim. Podług tradycji kościelnej, gdy pomieniony książę panował nad Rusią Czerwoną, niespodzianie przez Tatarów oblężony został w zamku belzkim. Tłumy barbarzyńców rzuciły się z wściekłością dla zdobycia murewanego grodu. Mężni obrońcy upadali na silach; sam książę Władysław, zwatpiwszy o dalszym oporze, zaczął wzywać pomocy niebios. Upadłszy krzyżem przed cudownym obrazem Bogarodzicy, który w zamku chował, w gorącej modlitwie błagał jej miłosierdzia i opieki. Wtedy strzała nieprzyjacielska, oknem do komnaty, wypadła, trafiła w obraz Najświętszej Panny i utkwiała w jej szyi. Na widok świętokradzkiego pocisku, rozpacz przejęła serce księcia, wołał wielkim głosem o pomoc do nieba, a głos jego zaraz wysłuchany został. Ryknęła straszna burza, nagle ciemność zaległa całą okolicę; krzyk trwogi pohanów, łączył się z poświstem wichury, grzmotem, błyskawicami i piorunami. Tatarzy, w powszechnym popłochu, uderzyli na siebie i zaczęli się wzajemnie mordować. Natenczas z garstką wiernych wypadła z zamku Władysław, rozbija pierzchające tłumy pogan i odnosi świętne zwycięstwo. Odtąd obraz cudowny stał się dlań najdroższym klejnotem.

Starożytne także podanie kościelne twierdzi, że go św. Łukasz ewangelista malował jeszcze za życia Najświętszej Maryi, na desce od stolika cyprysowego, przy którym modliła się mieszkając w domu św. Jana w Jerozolimie. Zachowany od zagłady podczas zburzenia Jerozolimy przez Tytusa w r. 320, od cesarzowej greckiej Heleny wzięty do Konstantynopola i tam pośród przesładowania ikonoklastów (obrazobórców), pod cesarzem Leonem Izaureńskim w szczególności, ocalony został przez żonę jego Irenę. Następca na tron cesarski po jej wygnaniu, Nicefor, szukając przyjaźni z Karolem Wielkim, ofiarował mu między innymi darami i relikwiami i ten obraz. Wszystkie te relikwie cesarz złożył w stolicy swęj Akwizgranie, a sam tylko ów obraz biorąc z sobą na wyprawę wojenne, darował jednemu z książąt słowiańskich, który Karolowi w wojnach przeciw Saracenom posilkował. Ten, ozdobiwszy obraz drogiemi kamieniami, złożył go na zamku belzkim, i tym sposobem dostał się Władysławowi księciu opolskiemu, który, pamiętny na cudowną pomoc jakiejś doznał, postanowił go przenieść do dziedzicznego miasta swego Opola na Szląsku. Przy wyjeździe wszelako z Bełza nowy cud się zdarzył: zadna siła ludzka obrazu z miejsca poruszyć nie mogła. Zdumiony Władysław tym wypadkiem, udał się do modlitwy, a wtedy we śnie miał objawienie, które mu wskazało Górę Jasną pod Częstochową, w bliskości zamku jego olsztyńskiego leżącą, za miejsce, gdzie powinien obraz ku wieczystej czci jego umieścić. Poszedł za tym widzeniem i we środę po świętym Bartłomieju 1382 r. stanął szczęśliwie w obrazem w Częstochowie, z kąd zaraz go do kaplicy drewnianej, na Jasnej-Górze przez częstochowskiego plebana zbudowanej, osobiście wprowadził i oddał pod straż zakonu pustelników św. Pawła, słynnych z pobożności.

Przytoczyliśmy tu w całości podania pisarzy kościelnych, a przechodzimy teraz do świadectw historycznych.

Długosz pisze, iż Ludwik król polski i węgierski, dręczony wyrzutami sumienia, że wiele krajów i zamków, wbrew obowiązkom swoim względem korony polskiej, na krzywdę jej oderwał, nie przestawał nalegać na Władysława księcia opolskiego, krewnego swego, który najwięcej na tym szafunku skorzystał, aby ważną jaką fundacją pobożną jego i własne swoje zaspołkowił sumienie. Ten, będąc palatynem Węgier, poznawszy zblizka zakon św. Pawła (paulinów), postanowił dla nich fundować w swoich posiadłościach polskich klasztor z kościołem. W starostwie więc olsztyńskim, którego Władysław stał się dziedzicem z łaski króla Ludwika, upatrzył górę, zwaną od ludu *Jasną*.

Nazwa dobrze odpowiadała jej przyrodzie. Góra wznosząca się na skalistej posadzce, o dobrą milę od zamku olsztyńskiego, o pół mili od dawnego miasta

Częstochowy, na rozległych równinach podniesiona, o cztery mile w okrag już jest widzialną.

Tu dnia 9 sierpnia, czyli we środę po św. Bartłomieju r. 1382, książę Władysław sprowadzonych z Węgier paulinów osadził i hojnie uposażył. Owóż data pewna, kiedy i zakon i obraz cudowny już był na Jasnej Górze.

Król Jagiello, przywilejami z lat 1393 i 1414, powiększył uposażenie klasztoru. Miejsce to, rozstawione cudami, jakich doświadczało pobożni, zaczęło ściągać tłumy pielgrzymów ze Szląska, Morawii, Prus i Węgier, gdy niespodziany r. 1430 cios w nie uderzył.

Wieść roznosiła się oddawna o wielkim i bogatym skarbcu klasztoru na Jasnej-Górze. Wiedzeni świętokradzkim łakomstwem, Jakub Nadobny z Rogowa herbu Działosza, i Jan Kuropatwa z Łańcuchowa herbu Srzeniawa, zebrawszy tuszce łotrów z Czech, Morawii i Szląska, w sam dzień uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego napadają zbrojnie Jasną-Górę. Zawiedzeni w zdobycy bogatych łupów, rzucają się na kościelne sprzęty, zabierają kielichy, krzyże, ornaty i sam nawet cudowny obraz Bogarodzicy, który obdarłszy ze złota i pereł, a silnym cięciem szabli oblicze święte zraniwszy, rzucają o ziemię i łamią. Niedługo sprawiedliwość Boża dotknęła zbrodniarzy. Przywódcy, wraz całą czeredą rozbójniczą, schwytani z rozkazu króla Jagielly, głowy pod miecz słusznej kary poddali.

Rozproszeni zakonnicy napadem zbrojnym, rozbiegli się szukać cudownego obrazu i znaleźli go w błocie pokalany i krésami szabli naznaczony. Pierwszą ich myślą było obmycie tych drogich szczątków; ale wody nie było w tém miejscu. Cudem, nagle wybija krynica przeczystej a żywej wody i obmywa święty obraz z błota. Grono paulinów, wśród modłów, łez i pieśni pobożnych, niesie do kościoła obraz Bogarodzicy na dawne miejsce, a przy pojawionem źródle staje krzyż drewniany.

(Dokończenie nastąpi.)

NA PLACÓWCE.

WSPOMNIENIE ŻOŁNIERSKIE.

PRZEZ

T. T. Jeża.

(Dokończenie.)

Kiedy Józef skończył, Godfryd uśmiechnął się i odchrząknął, chcąc coś powiedzieć, lecz mu jeden z żołnierzy przeszkodził.

—Czy się potem widzieli ze sobą?... zapytał.

—Nie... odrzekł Józef.

—Ależ o baronowej dziwne gadają rzeczy... wtrącił inny.

—To wszystko nieprawda!... rzekł Józef dobitnie.

—Gdzie tam, nieprawda!... odrzekł Godfryd.

To są oszczerstwa!... krzyknął Józef, a oczy mu się iskrzyły i podniesiona pięść w kufak się zacisnęła.

—Ależ ja sam... zaczął Godfryd.

—Co ty sam?... przerwał mu Józef groźnie.

—Mam dowód...

—Jaki?... jeszcze groźniej zapytał Józef.

—A, o... odrzekł Godfryd, zdejmując pierścienek z palca i Józefowi go podając.

Józef zadrzał, jak tylko się dotknął pierścienka, a wzięwszy go w ręce osłupiał. Godfryd tymczasem mówił:

Widać że nie z jednym Jakubem baronowa Rubnicka tego rodzaju szlub brała, bo na tym pierścienku wrytym jest obok jej imienia inne imię: Paulina i Józef...

—Jakżeś przyszedł do niego?... zapytał jeden z kolegów.

—Jak?... łatwym bardzo sposobem: baronowa dała mi go na pamiętkę... Prawda że dając płakała; ale żem bardzo prosił, więc dała... Wymówiła sobie jednakże, że bym jej go odeślał, jeżeliby mi się znudził... Ale ten pierścienek jest dla mnie tak przyjemną pamiętką, że mi się z pewnością nie znudzi... Bo też to kobieta!... tylko trochę za samowolna w postępowaniu...

—Lwica śmiała i wesola... zaczął któryś.

—A, tak... odparł Godfryd, twierdząc kiwnąwszy głową. Jej jednakże z tém do twarzy... Ona taka śliczna! z taką gracyą włada mężem, że się nawet baron na nią nie gniewał!

Któryś się głośno na to zaśmiał, a inny powiedział:

—Hm!... ona temu niebardzo winna...

—A któż?... padło zapytanie.

—Najprzód ciotka, a potem sam pan mąż, którzy ją przyprowadzili do tego, że innemu oddała serce, a innemu rękę... Rozwiódłszy raz serce z ręką, później... jest tylko sama sobie konsekwentną... Oni dali jej początek, a ona poszła dalej tą drogą, z tą różnicą że oni nieprawość oblekli w formy legalne, a ona formy te z niej zdarła... Gdybym był na miejscu tego pana Jakuba, tobym był na to nie pozwolił...

—Cóżbyś zrobił?... ktoś zapytał.

—Byłbym ją wykradł...

Józef na to ciężko westchnął i jakby nie słysząc tego wszystkiego co się mówiło, powiedział do Godfryda, głosem który miał w sobie jakieś dziwne próśby i modlitwy drzenie:

—Ty znalazłeś ten pierścienek... Ona go musiała zgubić... Powiedz: ona zgubiła, a tyś znalazł...

Domysliłem się i zapewne nie jeden w tej chwili się domyslił, że ów Jakub był nie kto inny tylko nasz Józef. Żał mi się go zrobiło. Chciałem podszeptać Godfrydowi, aby powiedział tak, jak on chce. Godfryd ścisnął ramionami i już usta otwierał, a w tém:

Dwa na raz odgłosy z zewnątrz placówki do uszu naszych wpadły: daleki karabinowy strzał i blizki gwałtowny sztyldwachu okrzyk:

—Do bronii!...

Skoczyliśmy wszyscy równemi nogami. Chwilę kiedysmy tornistry wdziewali, trwało zamieszanie, ale tylko chwilę; poczem wyruszyliśmy na dwór i w momencie uszykowaliśmy się.

Tymczasem padające na linii wedet strzały świadczyły o rzeczywistości jakiegoś ze strony garnizonu twierdzy zamachu.

Józef uszykował nas. Było nas dwanaście rot, to jest dwudziestu czterech żołnierzy, bośmy się na sposób angielski, we dwa szeregi szykowali. Podzielił więc nas na dwie równe połowy, reprezentujące sekcyę i zakomenderował:

—Pluton!... na ramię bronii!...

Rzuciliśmy karabiny od nogi na ramię, a Józef, natychmiast po wykonaniu tej komendy, zawołał:

—Sekcyami od prawego!... Pierwsza sekcyja naprzód!... krok podwojny!... marsz!...

Pierwsza sekcyja odłamała się i poszła. Ja drugą, przez półobrót w prawo, wprowadziłem w jej ślady i ruszyliśmy najkrótszą ku baterji drogą. A że bateria była niedaleko, więc wyminąwszy ją, pociągnęliśmy ku brzegowi.

Na drodze spotkały nas zbiegające się wedety i stawały w szeregach. One nam oznajmiły, że nieprzyjaciel gęstą kupą pokazał się no lodzie i zmierza, jak się zdaje, ku naszej baterji.

Gdy uszliśmy ze dwadzieścia od baterji kroków, Józef zakomenderował:

Formuj pluton!... Pierwsza sekcyja w miejscu krok!...

Ja podchwyciłem:

—Druga sekcyja!... półobrotu w lewo!... marsz!...

I w mgnieniu oka cała nasza siła bojowa wyciągnęła się frontem, a uszedłszy jeszcze kilka kroków, zatrzymała się, mając brzeg przed sobą, a baterją za sobą...

Wkrótce podanie wedet sprawdziło się. Na lodzie niedaleko naszego brzegu, wprost przed nami, zaczęła się ruchoma, nasypana z wierzchu migotliwemi płomykami bagnetów plama. Że patrzyliśmy się po nocy i z góry na dół, więc ujrzelśmy ją, gdy była przed nami na trzydzieści, najwięcej czterdzieści kroków.

Józef pochylił się, popatrzył, a odstępując z przed frontu, przed którym stał, zawołał:

—Pluton, ognia!...

Potem dobitnie i wyraźnie, powoli następujące wymawiał jednozgłoski:

—Tuj!... cell!... pall!...

Przy ostatniej gruchnęła salwa i natychmiast ozwał się głos Józefa, który przed front wyskoczył:

—Naprzód!... krok zdwojny!... marsz!...

Poszliśmy. Jeszcze raz Józef zawołał:

—Do ataku bronii!... Biegiem!... Hura!...

Żołnierze powtórzyli „hura!“ i z pochylonym bagnetem rzucili się na nieprzyjaciela.

Józef poprzedał nas o kilka kroków, i nim dobiegliśmy do skrzyżowania bagnetów, znikł nam z oczu.

Nieprzyjaciel przyjął nas w taki sam sposób, w jaki my go przywitaliśmy. My rzuciliśmy się na niego, on na nas; a że on silniejszym był liczbą, dłuższy frontem i gęstszy masą, przeto ujrzelśmy się otoczonymi. Naszemu jednakże zadaniem było: jeżelibyśmy nie zdołali od razu odeprzeć napastnika, to powinniśmy go byli zatrzymać. Pierwsze przechodziło naszą możność; lecz za to wywiązałyśmy się zupełnie z drugiego. W zapasach z nami, w których bagnety pęka-

ły, a łoża i lufy grały rolę obuchów, nieprzyjacielowi upływał czas. A tymczasem, obudzone strzałami wedet i ściagnione naszą salwą, spieszyły ku nam placówki, grangardy i rezerwy.

Dwie sąsiednie naszej placówki przybiegły najpierwsze. Przyjście ich niepomysłnym było dla nieprzyjaciela znakiem, oznajmiało bowiem, że tuż dążą znaczniejsze siły, na które żadną miarą nie wypadało mu czekać. To też, jak tylko ozwało się z dwóch stron równoczesne prawie dwóch „hura!”, natychmiast nieprzyjaciel pierzchł, a my zostaliśmy.

Wkrótce potem przybyła silna rezerwa z majorem na czele, lecz zastała już rzecz skończoną. Zabrała więc rannych, tak swoich jak nieprzyjacielskich, i powróciła. Placówki zajęły dawne miejsca i po dawnemu rozstawiły wedety.

Kiedy półpluton nasz stanął frontem i obliczył się, brakowało nam jedenastu, a komendantem zostałem ja. Pomiedzy brakującymi bowiem był i Józef, i kapral co pierwszą sekcją dowodził. Byli oni jednakże zabitymi, czyli też tylko rannymi? o tém nie wiedzieliśmy. Wykomenderowani z rezerwy żołnierze zabrali i ponieśli rannych; zabitych zaś leżało kilku, ale po nocy nie można było ich rozpoznać.

Gdyśmy ognisko obsiedli, przykro nam się zrobiło, albo raczej żal nas ogarnął za Józefem.

— Ten Jakub, to Józef... odezwał się jeden.

— Biedaczysko!... dorzucił inny.

Wkrótce potem wysłany patrol powrócił, a kapral który go prowadził miał tę ciekawość, że przypatrywał się z blizką trupom na pobojowisku. Zdawszy więc mi raport służbowy, rzekł:

— No, wiecie, nasz Józef zginął...

— Biedaczysko!.. rzekł któryś, przed śmiercią takiej doczekał się pociechy... Ależ bo i ten Godfryd!.. trzeba mu było wyrwać się.

— Któż tam mógł się tego spodziewać!.. odparł Godfryd, trzymający się za twarz ogromnym sińcem naznaczoną.

— Ot teraz... rzekł któryś, gdybys stanął przed

baronową, to jużbys się jej nie podobał... Diable cię Niemcy oszpecili...

czyli kruchty, są zębate, rozmaitemi wnękami, płaskosłupami i okragłemi otworami przyozdobione; cały

kościół ma postać poważną, a co najważniejsza, w pierwotnym dochowany stanie. Sklepienia wewnątrz dotrwały w nim także w całości, a są właściwym gotyckiemu stylowi sposobem gwiazdźdzo zebrowane. Stożące tylko przy ścianach płaskosłupy, na które się te zebrowania zbiegają, może w późniejszym czasie przerobieniu uległy. Otóż w kościele tym, oprócz niezłego malowania al fresco nasklepieniu w kaplicy i niezbyt starożytnych ołtarzy, które sztuką wcale się nie odznaczają, znajduje się nadto kilka marmurowych nagrobków, pomiędzy niemi zaś szczególną zwraca uwagę pomnik Adryana Szumskiego, który obecnie w wizerunku podajemy. Jest on z marmuru szarego, z alabastrową półosobą rycerza. Kim był nieboszczyk, jakie są dzieje jego żywota, nie mogliśmy się na miejscu dowiedzieć; heraldycy też nasi milczą o nim zupełnie. Jedyną przeto wiadomością jest napis wierszem polskim ułożony, znajdujący się na nagrobku. Brzmi on jak następuje:

Tu leży Comes Aderian Szumski, od [śmierci zraniony,
Z Anny Kliekiéj a ojca Stanisława zro- [dzony,
Który ojczyźnie swojej dobrze się zacho- [wał,
Więcej miecza i zbroje, niż domu pilno- [wał.
Niech krainy inflanckie, wołoskie i pru- [skie
Powiedzą jakie czynił odwagi żołnier- [skie.
Cierpiał zimno, powietrze, ciepła upa- [lenie,
Musiał podczas wodę pić szyszakiem [w pragnienie,
W tém mu cznota i sława serca doda- [wała,
Za co mu też w swéj ziemi chorestwo u- [dała.
Za te cznoty godzien był przeżyć dłu- [gie lata,
Powoli zażywać obłudnego świata,
Przetoż służąc dostatnie u króla pol- [skiego,
Poszedł po żołd zasługi do króla wie- [cznego.

Umarł roku 1632 dnia 6 stycznia
Aetatis suae 47.
Requiescat in pace.

Ubiór rycerza dosyć jest osobliwy, ale cały pomnik bardzo już zniszczony.



NAGROBEK ADRYANA SZUMSKIEGO W KOŚCIELE OO. BERNARDYNÓW W PRZASNYSZU.
(Rysował z natury J. Lewicki.)

SZACHY.

ZADANIE LXVI.

(J. Z. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.

